

ŻYCIE LITERACKIE

KRAKÓW, UL. WIŚLNA 2

wydanie

13 31. III. 68

teatr

TEATR A ROBOTNICY

Tegoroczny Międzynarodowy Dzień Teatru, 27 marca, poświęcony został zagadnieniu „Teatr a środowiska robotnicze”. Zgodnie z tradycją, jeden z wybitnych twórców ogłasza w tym dniu apel-przesłanie do artystów teatru i narodów świata. W bieżącym roku wypowiedział się pisarz gwatemalski, Miguel Asturias, laureat ubiegłorocznej nagrody Nobla. Oto fragmenty:

„Gdzie był teatr, zostają słowa; słowa dialogu człowieka z bogami, człowieka ze światem, człowieka z człowiekiem. Dialog nieśmiertelny. Mowa wieków, zmiennymi kolejami losu, staje się w teatrze znów środkiem porozumienia — najbardziej ludzkim, najbardziej bezpośrednim, skutecznym i płodnym”.

„...ośmielać się — ja, człowiek innego słońca — przemówić do twórców i widzów scenicznego cudu. Niech sobie podadzą ręce nie po to, by wspólnie kuć łańcuchy, lecz aby budować mosty wzajemnego porozumienia”.

„W czterech stronach naszej planety ludzie teatrów — wszystkich teatrów — przekreślą na tę chwilę granice; zapomną o różnicach dzielących rasy, narody i wierzenia; zjednoczą zasoby swej woli na rzecz pokoju jako najwyższego i jedynego żądania — w epoce konfliktów bez precedensu”.

Retoryka tych słów ma pewne uzasadnienie. Artyści i intelektualiści muszą głośno żądać i postulować. Nie znaczy to, że ich postulaty i żądania potrafią sprowadzić pokój. Ale znaczy to, że ich głos — i tylko ich głos — może ocalić godność naszej epoki i naszej kultury.

Od wielkich słów trzeba jednak przejść także do „prostego romansu”. Problem: teatr a środowiska robotnicze — jest dziś żywy szczególnie w naszym kraju. Wiele zrobiono już, aby na widowni teatralnej mogli się znaleźć ci, którzy trudem swoim budują powszedni dzień kraju. Na pewno jednak nie zrobiono jeszcze wszystkiego. A nawet — nie umniejszając w niczym osiągnięć — można powiedzieć, że do zrobienia pozostało jeszcze bardzo dużo. Albo inaczej: znów bardzo dużo.

Najlepiej rzecz objaśnić na przykładzie. Takim przykładem może być historia Teatru Ludowego w Nowej Hucie. Kierowany przez Skuszanek i Krasowskiego osiągnął duże znaczenie ogólnopolskie, interesowała się nim zagranica. Ale przecież — co najważ-

niejsze — potrafił swymi najlepszymi premierami zafascynować także mieszkańców tego nowego, młodego robotniczego miasta. Wbrew niektórym wiecznym malkontentom ranga ideowa i artystyczna tego teatru nie pozostawała bez wpływu na to zainteresowanie. Przeciwnie, ona o tym zainteresowaniu decydowała, tylko ona zdolna była wytworzyć prawdziwą i trwałą więź między widownią nowohucką a „jej” teatrem, teatrem, którym można się poszczycić i którego nie wypada nie znać.

Żywy kontakt między teatrem a widownią robotniczą może powstać tylko wówczas, gdy teatr ten nie będzie nudny, jałowy, gdy potrafi wytworzyć wokół siebie szerokie zainteresowanie artystyczne i gdy umie poważnie mówić o istotnych sprawach ideowych. Ponadto: gdy będzie mu na tej nowej widowni robotniczej zależało, czego — niestety nie można powiedzieć o większości teatrów skupiających się w wielkich miastach.

W dalszym ciągu jest jednak wielka stawka do wygrania. I myśląc o niej — warto pamiętać o doświadczeniu Teatru Ludowego w drugiej połowie lat pięćdziesiątych.

POZNAŃSKIE PREMIERY

Teatry poznańskie wystąpiły ostatnio z serią interesujących premier. W Teatrze Polskim Jerzy Zegalski wyreżyserował „Kariere Arturo Ui” Brechta w scenografii Zbigniewa Bednarrowicza. Rolę tytułową zagrał Tadeusz Wojtych. Ponadto wystąpili: Sława Kwaśniewska, Alina Lipnicka, Henryk Machalica, Wiesław Nowosielski, Andrzej Saar, Zbigniew Stawarz i in.

Na scenie Teatru Nowego Jowita Pieńkiewicz wyreżyserowała „Świątoszka” Moliere’a, w scenografii Andrzeja Sadowskiego, z muzyką Mateusza Świącieckiego. W rolach głównych wystąpili: Bronisława Frejtażanka, Kazimiera Nogajówna, Sławomir Pietraszewski i Marian Pogasz.

Na tej samej scenie odbyła się premiera „Lata” Romaina Weingartena. Reżyserował: Stanisław Hebanowski, scenografia Andrzeja Sadowskiego, muzyka Ryszarda Gardo. Wystąpili: Eleonora Hardock, Kazimierz Borowiec, Zdzisław Zachariusz, Zbigniew Babak.

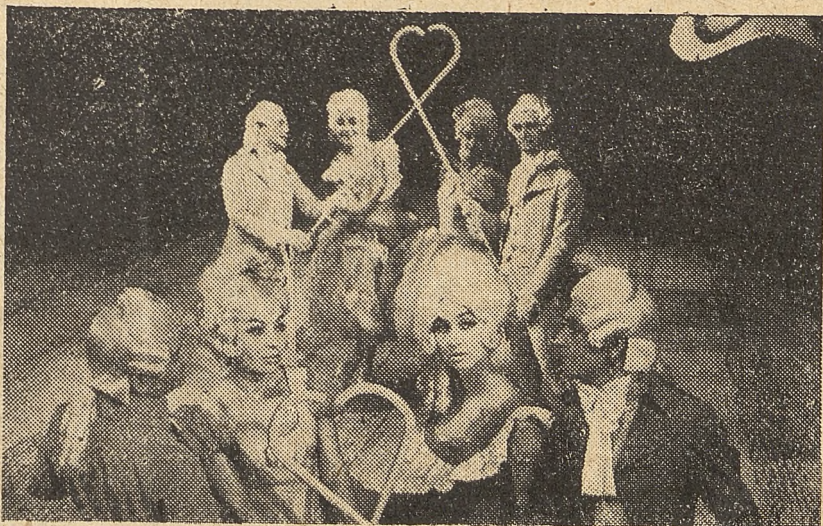
W SZCZECINIE

Na scenie Teatru Polskiego znalazł się wśród nowych premier „Pan Wokulski” — znana adaptacja „Lalki” Prusa przygotowana przez Hanuszkiewicz. Reżyserowała Ewa Kołogórska w scenografii Aleksandra Wielogórskiego. Wokulskiego zagrał Włodzimierz Bednarski, Izabellę — Maria Chwalibóg, Rzeckiego — Hieronim Konieczka, panią Wąsowską — Jadwiga Lesiak.

W Teatrze Współczesnym „Don Juana” Moliere’a wyreżyserował Tadeusz Byrski w scenografii Zofii Wierchowicz. Rolę tytułową grają: Andrzej Kopiczyński i Janusz Marzec, Sganarella — Wacław Ulewicz, Elwirę — Krystyna Bigelmajer.

OKOPIŃSKI I MROZEK

Marek Okopiński wyreżyserował w Debreczynie, w teatrze węgierskim, dwie sztuki Mrożka: „Czarowną noc” i „Męczeństwo Piotra O’Heja”. Premiera odbyła się 8 marca.



Teatr Ludowy w Nowej Hucie gra obecnie „Kram z piosenkami” Leona Schillera w reżyserii Jana Skotnickiego i scenografii Mariana Garkickiego. Na zdjęciu: „Skotopaski”; na pierwszym planie od lewej: Henryk Maruszczyk, Anna Wróblówna, Barbara Zgorzalewicz, Janusz Nowicki.



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

DZIENNIK POLSKI

KRAKÓW UL. WIELOPOLE 1

A

wydanie

Nr 28 z dn. 2. 11. 68

Ryszard Kosiński

„Kram z piosenkami” w Nowej Hucie

zaś — dawno już u nas zapomniano o dynamicznej reklamie teatru i aktora.

No więc zrobiło się wreszcie w Krakowie weselej. Nasze znakomite teatry w pogoni za odpowiedziami na podstawowe pytania egzystencjalne i historyczne, w zbożnym posłannictwie naprawiania świata zapomniwały niemal zupełnie o tym tonie, grając do znudzenia koncert na jedną rękę. Bo mimo wszystko „Życie — to dobra rzecz, o tak! Drody przyjaciele, cała jego wada to ta, że trwa krótko. Człowiek nie wychodzi na swoje. Powie ktoś: „Nie narzekaj! Bądź kontent z tej porcji, którą przed tobą postawiono!” Zgoda, nie przeczę. Ale proszę o drugą porcję, byle wielką!” Ten cytat z pewnej znanej francuskiej opowieści, której bohater jest na pół baśniową apoteozą ludowej Francji, dedykuję kierownikowi artystycznemu nie tylko scen krakowskich.

Mamy przeto w Hucie dobrą zabawę. Kilkadziesiąt piosenek, spośród których prawie każda jest perłą błyszczącą urokiem melodii i

humoru, a także żywym zapisem kawałka historii mód i obyczajów tego kraju, skomponowano w sugestywną inscenizację ręki Jana Skotnickiego. Reżyser nie silił się na wymyślne figury inscenizacyjne, poprowadził przedstawienie, powiedziałbym, delikatnie — tu podprowadzając lekką stylizację, tam ostrzejszy gest charakterystyczny, ówdzie podbijając dowcip reżyserską ingerencją. Zawierzył, przede wszystkim muzyce i tekstowi, skupiając się na wydobywaniu bogactwa. Nic słuszniejszego, w tej powodzi melodii i przedniego słowa nie darowalibyśmy mu niemęskiego rozgadania.

Miał zresztą w pobok świetnego partnera, który wedle mnie najsugestywniej, obok owej muzyki i tekstów, w przedstawieniu zabrzmiał — scenografa w osobie Mariana Garlickiego. Garlicki stworzył uroczą zupełnie oprawę sceniczną. Piękna kolorystycznie, lotna jak nadwłaska piosenka, skrząca się dowcipem i mieniącą dobrym stylem. Przyznam, że dla mnie jest to największe wydarzenie realizacyjne spek-

taklu. Może to przedstawienie zachęci Garlickiego do zmiany palety malarskiej, gdyż pamiętaliśmy go dotychczas z posępnej raczej roboty.

W zespole zaś aktorskim trudno szukać pojedynczych bohaterów. Można, oczywiście, wyluskać z kilkugodzinnego przedstawienia wybijające się solówki, żeby przypomnieć uroczą emulację w wykonaniu Anny Wróblówny i Tadeusza Wiudarskiego (tę partię wykonują oni na zmianę z Bogusławą Kozusznik i Henrykiem Maruszczykiem, pozyskanym przez teatr znanym aktorem grającym do niedawna w Katowicach), pełną werwy i życia Barbarę Omielską, ładne śpiewanie Ewy Raczkowskiej, Barbary Zgorzalewicz, Fredy Leniewicz, Witolda Gruszeckiego interpretującego słynną „Pelerynę”, można — i owszem — bohaterem spektaklu jest jednak cały ensemble.

Czy pozytywnym? Raczej tak. Brakowało wprawdzie pierwszej części przedstawienia ostrzejszego nerwu, silniejszego dynamizmu, tem-

TEATR

pa, ognia, skoczności, chromało jeszcze trochę na początku drugiego rozdziału, nie wydał mi się najbardziej udany finał z „Oleandrami”, ale cała reszta miała i właśnie ów nerw, i humor, i ogień, i ile trzeba smętku. Orkiestra tylko trochę nie nadążała, albo odwrotnie. I z satysfakcją słuchałem, jak trzeszczały aktorom (i, oczywiście, aktorkom) zasiedziały kości, gdy przyszło, do tańców. Takie wprawki są szalenie zdrowe, kondycję zaś można sobie przygotować choćby na wzgórzach okolnych, śniegu w tym rejonie nie brakuje, deski są w wypożyczalni sprzętu turystycznego. W razie czego służę życzliwym pośrednictwem.

Odnotujemy wreszcie i pozostałych realizatorów przedstawienia. Układ tańców Eugeniusz Papliński, opracowanie muzyczne Tomasz Kiese-wetter, instrumentacja Bogdan Pawłowski, kierownictwo muzyczne Zbigniew Grawicz. Przyznam, że udział zespołu muzycznego nie wprowił mnie w entuzjazm, zapewne im dalej w las, tym lepiej będzie, ale po paru miesiącach prób można już było się dopasować.

P.S. Pytanie do teatrów. Czy nie warto by w programach podawać przybliżonej godziny ukończenia spektaklu? Drzewiej był taki zwyczaj, a i teraz niektóre teatry krajowe go stosują. Bardzo jest na rękę publiczności.



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 8-59-59

DZIENNIK POLSKI

KRAKÓW UL. WIELOPOLE 1

A

wydanie

24 - 28 - 29. I. 68

DZIENNIK POLSKI

Nr 24

Krystyna Zbijewska

Malowanki muzyczne

Tak się złożyło, że już w dziecięcych latach miałem możność poznania olbrzymiej ilości starych pieśni. Śpiewała je rodzina, śpiewało miasto rodzinne — Kraków, śpiewały okolice podkrakowskie... — pisał Leon Schiller. Ta atmosfera domu rodzinnego, w którym żyły muzyczne tradycje babki-pianistki i w którym marzono o dyrygenckiej karierze Leona, wzbogacona wnet została o doświadczenia młodego gimnazjalisty, który trafił w progi rozśpiewanej Michałkowej Jamy, by obok wybitnych artystów prezentować tu swe młodzieńcze kompozycje, wchłaniając równocześnie przypominane przez zielonobalonikową cyganerię stare śpiewki i melodie. I wzbogacona została niebawem jeszcze silniej o muzyczne wzruszenia parysko-wiedeńskie i kompozytorskie próby w kabaretach „Figliki” i „Momus”.

Muzyka otworzyła drogę do teatru przyszłemu wielkiemu twórcy scenicznemu. Pierwszym z nim kontaktem zawodowym było stanowisko kierownika literackiego i muzycznego w warszawskim Teatrze Polskim. Była to droga jak najbardziej prawidłowa. Wyznawał Schiller tezę „braterstwa” muzyki i dramatu. Ów ścisły związek dwu sztuk tak określił w jednym ze swych przemówień: „Dramat w najpotężniejszej, najszlachetniejszej postaci nie obywa się bez muzyki — ku niej dąży. Opera i dramat to dwa oblicza tego samego bóstwa.”

Przez całe swe artystyczne życie wierny był tej zasadzie. Przyszły twór-

ca teatru monumentalnego, inscenizator wielkich dramatów, ożywiał równocześnie na scenie stare wodewile i „śpiewogry”, wskrzeszał stare piosenki i melodie. Nie tylko piosenki — także stare teksty, dawne zwyczaje, obrzędy, kultowe obchody. I obok schillerowskich „Dziadów” lub „Nieboskiej” równie słynną kartę w dziejach polskiego teatru zapisały jego inscenizacje „Krakowiaków i Górali”, „Królowej przedmieścia” czy też „malowanki muzyczne” — od „Pastorałek” po „Kram z piosenkami”.

Zrodził się ów rozśpiewany, roztańczony „Kram” w pierwszych dniach wolności — na obczyźnie, gdy tęsknota za krajem specyficznej barwy i wymowy przydawała owym dyszącym polskością tradycyjnym piosenkom i zwyczajom. W Lingen — niemieckim mieście na granicy holenderskiej w założonym przez Schillera — w głównej mierze z byłych jeńców obozowych — Teatrze Ludowym im. Wojciecha Bogusławskiego (ileż treści kryło się w tej nazwie, ile wymowy w obraniu za patrona ojca sceny narodowej, którego imię nosiła zamknięta za czasów sanacji bojowa scena Schillera...), a więc w Lingen odbyła się 1-go grudnia 1945 roku

premiera „Kramu”, stanowiącego kontynuację „Redutowego” programu sprzed lat 20: „Dawne czasy”, przemianowanego później na „Pochwała wesołości”.

„Kram z piosenkami” to jakby rewią tańczonych piosenek, osnuta na historyczno-obyczajowej kanwie — od staropolszczyzny po młodopolską cyganerię i fin de siècle’owe piosenki podmiejskie.

Opierając się w zasadniczym trzonie na autentycznym materiale, wzbogacił go Schiller o własne kompozycje, znakomicie włączone w styl epoki. Inszenizowane piosenki z „Kramu” zaledwie przez dwa tygodnie cieszyły oczy i uszy Polaków w Niemczech. Poprzedziły bezpośrednio ich powrót do ojczyzny — może i w wielu wypadkach były decyzji owego powrotu bezpośrednią przyczyną...

W kraju wznowiony został „Kram z piosenkami” przez samego Schillera w Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi i wielokrotnie wystawiany przez różne sceny trafił także przed kilku laty — w realizacji warszawskiego „Ateneum” — do paryskiego Teatru Narodów.

Nie trafił dotąd do Krakowa. Aż dziw bierze — dlaczego? Przecież po-

za całą atrakcyjnością tego typu produkcji repertuarowej, poza wielką dźwięcznością na piosenkę z myszką (Agnieszka Osiecka i jej „Jabłonie”), jest „Kram” w znakomitej swej części — właśnie bardzo: krakowski (pelerynowa cyganeria na tle mariackiego hej-
nau!)

Pierwsza u nas inscenizacja „Kramu z piosenkami”, zrealizowana właśnie obecnie przez Teatr Ludowy w Nowej Hucie, krakowski ów koloryt jeszcze wzbogaca, część, nazwaną przez Schillera „Przedmieście śpiewa”, poszerzając o kilka dodatkowych oryginalnych piosenek krakowskich.

Nareszcie więc mamy w smutnym w tej chwili teatralnym Krakowie barwne karnawałowe widowisko śpiewno-muzyczne: „tańczące i śpiewające obrazki”. Widowisko, które — z góry to można założyć — cieszyć się będzie olbrzymim powodzeniem. Już chodzą słuchy, że zamówienia na przedstawienia „Kramu” płyną do Teatru Ludowego nieprzerwaną strugą...

A jeśli owi zamawiający wychodzą będą z nowohuckiego teatru oczarowani i wzruszeni, będzie to oczywiście zasługa nie tylko Leona Schillera, nie tylko piękna starych polskich piosenek, ale i nowohuckich realizatorów „Kramu”: reżysera Jana Skotnickiego, scenografa Mariana Garlickiego i choreografa Eugeniusza Paplińskiego (który współpracował swego czasu w operze z Leonem Schillerem) i zasługa całego zespołu, biorącego udział w tym wielkim i pięknym widowisku taneczno-muzycznym.

ŻYCIE LITERACKIE
KRAKÓW, UL. WIŚLNA 2

wydanie

7

18. 11. 68

Nr z dn.

ARCHIWUM
P. TEATRU LUDOWEGO
W NOWEJ KUCIE

Nr poz. 75

26
STEFAN
OTWINOWSKI

Notes
KRAKOWSKI

Stefan Otwinowski
Życie Literackie
o Krakowie
Kram z piosenkami", ufun-
dowany przez niezapomnia-
nego Leona Schillera, zja-
wia się dość często na na-
szych scenach. Teraz oto
w Teatrze Ludowym. Byłem przed
kilku dniami na zwykłym, nie pra-
sowym przedstawieniu i widziałem,
jak świetnie tym razem scena ko-
munikowała się z widownią nowo-
hucką. Nowohucką — przyjął się
jednak ten ryzykowny przymiotnik.
Po Goldonim, po Czechowie trze-
cie to już przedstawienie w tym
teatrze, które może liczyć na długie
powodzenie. Ryszard Kosiński lubi
po gazetach cytować moje prawdzi-
we i nieprawdziwe powiedzenia,
niech i ja raz posłużę się jego sty-
lem: Irena Babel tym razem trafi-
ła w dziesiątkę!

Jest w odnowionym zespole no-
wohuckiej (znowu!) sceny kilka osób
prawdziwie młodych, aktorów z e-
nergią, z wdziękiem. Wciągnął ich
w pracovitą grę nie tylko reżyser,
Jan Skotnicki, lecz również choreo-
graf, Eugeniusz Papliński. A więc z
przejściem i przyjemnym dla oka
widzów rezultatem pracowali: Bar-
bara Omielska, Anna Wróblówna,
Daniela (coż za imiona wymyślają
sobie te najmłodsze koleżanki) Zy-
balanka, a także Tadeusz Włodarski.
Wymieniam tych, których trud ak-
torski i taneczny był najcięższy. Na
tym trudzie to ja się znam. Zna-
cznie mniej znam się na śpiewie i
zjawiskach sąsiadujących ze śpie-
wem. Ale i tutaj szanse są równe,
bo i aktorom omawianego widowis-
ka nie udało się przekonać mnie, że
możliwości wokalne leżą w sferze
ich wielkich nadziei. Zresztą, ja
powiedziałem, tyle na scenie było
dobrych przekonań i tyle wdzięku,
że o śpiew nie będziemy się spie-
rać. Jeszcze tylko dodam, że sce-
nografia i kostiumy Mariana Gar-
lickiego swą pomysłowością i bar-
wną synchronizacją zasługują na
szczególne wyróżnienie. Zatem na
nowe przedstawienie do Huty war-
to wybrać się nie tylko z Krakó-
wa, ale z okolic dalszych, na przy-
kład z Zakopanego.

Z Zakopanego? Dlaczego wymie-
niłem właśnie to miasto? Ano dla-
tego, że leży przede mną na biurku
pismo Związku Podhalań. Przysła-
li mi koledzy z Zakopanego swo-
ją jednodniówkę „P o d h a l e” i
nawet chcą opinii. Co sądzę o
Ich inicjatywie? Dobrze sądzę, bo
choć ta próba ma braki, przecież
i tak świadczy o jak najlepszych
możliwościach i przynosi kilka po-
zycji interesujących i kilka nazwisk,
które o przeszłości i kulturze re-
gionu mogłyby powiedzieć wiele
jeszcze rzeczy istotnych nie tylko
dla powiatu czy województwa. My-
ślę tu przede wszystkim o takich
nazwiskach, jak: Witold H. Paryski,
Walery Goetel, Włodzimierz Wnuk.
Zasię brakiem największym egzem-
plarza, który mam przed sobą, jest
zupełna w nim nieobecność sław-
nej zakopiańskiej plastyki. Redak-
cja zamieszcza aż pięć zdjęć z oko-
lic Zakopanego, w tym tylko jedno
piękne, podpisane przez Stefana
Zwolińskiego — i ani jednej grafi-
ki, ani jednej reprodukcji dzieła
podhalańskich artystów. Środowis-
ko literackie tak samo zbyt skrom-
nie się przedstawiło... ale, owszem,
z Jackiem Bocheńskim dobry po-
mysł. Tak, na pewno trzeba przypo-
minąć o tym, jak to świetni ojco-
wie swoją pasją, swoją miłością do
gór umieli zarazić synów, nawet
tych, którzy na co dzień obcuja z
Cezarem lub osobistościami na po-
ziomie Cezara. Przeczytałem w nu-
merze „Podhala” artykuł o Ał-
mie. Artykuł krótki, lecz treściwy;
littery sygnujące wypowiedź podpo-
wiadają mi, że jest to głos osoby
bardzo życzliwej sprawie domu dla
pamięci Szymanowskiego i pamią-
tek po wielkim kompozytorze, oso-
by poza tym najbardziej kompetent-
nej. Nuta tego głosu niestety mało
optimistyczna. Jeśli „wykwatero-
wanie” trzech rodzin zamieszkują-

cych obecnie Ałmę nie mogłoby
się odbyć przed rokiem 1970 — to
znaczy, że na założenie muzeum po-
czekać przyjdzie sporo, sporo cza-
su.

W Krakowie już pojawiają się
pierwsze sygnały wielkiej rocznicy
Wyspiańskiego. Pewna uczelnia i
to wcale nie humanistycznego typu
zaprosiła przedstawicieli literatury,
nauki, sztuki dla omówienia pro-
jektu budowy pomnika autora
„Wyzwolenia”. Pomysł, dowiedzie-
liśmy się w czasie konferencji, wy-
szedł od uczniów. Pięknie. Przy o-
kazji warto zaznaczyć, że w Kra-
kowie o wiele więcej inicjatywy w
życiu kulturalnym ujawniają uc-
niowie szkół średnich, aniżeli stu-
denci. Tak i ta inicjatywa dobrze
świadczy o ambicjach młodzieży,
ale jej realizacja wymagałaby ol-
brzymiego wysiłku finansowego.
Wątpić można, czy podjęcie owego
wysiłku nawet przez znaczną ilość
szkół średnich krakowskich dałoby
rezultat wystarczający. Podczas cie-
kawej dyskusji dowiedziałem się je-
szcze i o innych sprawach, związa-
nych z dziełami i biografią Wyspiań-
skiego. Teksty, rękopisy autora
„Wesela”, podobnie jak pamiątki
po nim oraz wszelkie źródła dla
dalszych najbardziej potrzebnych
opracowań rozsiane są po rozma-
itych miejscach i właśnie dla ludzi
bez „absolutnego włączenia”
nie dostępne. Czy więc zamiast bu-
dowy pomnika nie byłoby bardziej
wskazane pomyśleć o poważnym
skoncentrowaniu źródeł i dorobku?
Czy Kraków nie mógłby mieć do-

mu Wyspiańskiego? A może w pro-
jektowanym rozwoju Muzeum Tea-
tralnego zrobić na początek kapi-
talny dział Wyspiańskiego ze spec-
jalną pracownią dla polonistów, tea-
tologów, reżyserów?

I na zakończenie tego felietonu
o projektach — szlachetny pomysł,
który w liście przekazała mi p. Ma-
ria Kulesza z Warszawy. Pomysł nie
dotyczy ani pomnika, ani muzeum,
jest znacznie skromniejszy i łat-
wiejszy do realizacji. Oto fragment
listu: „... pragnęłabym zwrócić Pana
cenną w skutki — wierzę — uwagę
na inną możliwość Polskiego Ra-
dia, bo słusznie Pan pochwalił po-
żyteczną akcję P. R. wyboru »bo-
hatera roku« przez młodzież. O-
tóż wiele miejsca w programach
zajmują koncerty życzeń. Koncerty
te sycą najczęściej uczucia i tak
nasycone. Tymczasem to samo ra-
dio w swoich, najlepszych zresztą,
audycjach poświęconych sprawom
społecznym, od czasu do czasu na-
daje reportaż z Domu Dziecka. Nie
muszę Panu mówić, jak wstrząsa-
jące są te zbliżenia losów niezaw-
nionych. Reportaże te, o charakte-
rze okolicznościowym, przypomina-
ją, i słusznie, o istnieniu tych dzie-
ci i tych losów. Ale wydaje mi się,
że w interesie społecznym można
by zrobić coś więcej. Proponuję kon-
kretnie: rozpoczynając koncerty ży-
czeń, poświęcać bodaj jedną melo-
dię kilku wymienionym z imienia i
nazwiska dzieciom z Domu Dziecka.
Może tą pamięcią ich imion zwró-
cilibyśmy im coś więcej, może ura-
towalibyśmy je od zupełnego za-
pomnienia przez sprawców ich nie-
doli? Może nawet taka akcja mia-
łaby skutki zapobiegawcze?”

Cóż mogę do tego wzruszającego
tekstu dodać — o, na pewno warto
się nad nim zastanowić. Polecam tę
sprawę moim przyjaciółom i kole-
gom w rozgłosniach warszawskich,
w rozgłosni krakowskiej.

STEFAN OTWINOWSKI



BIURO
WYCINKÓW
PRASOWYCH

Warszawa
Pl. Starynkiewicza 7
Tel. 28-59-59

WSPÓŁCZESNOŚĆ
WARSZAWA, UL. KOSZYKOWA 6A

wydanie

Nr z dn.

„Kram z piosenkami”

„...postaram się, sposobem mnie tylko wiadomym, ożywić epokę i ludzi, o których mówią piosenki mojego zbioru, w postaci obrazków śpiewających i tańczących”. Po odczytaniu słów Leona Schillera aktor podejmuje rolę kramarza. Oto dworek szlachecki w oczekiwaniu na przybycie kuligu. Jego prostoduszni mieszkańcy obmyślają pocziwy fortel: rozprawiają o tym, jak to będą udawać, że ich nie ma w domu, następnie — również w mowie — swój niewinny spiszek przeprowadzają. Wreszcie przybywa kulig ze Starostą na czele; wjeżdżają rozśpiewane wesoło sanie, wrota rozwierają się na oścież, by godnie przyjąć gości.

Następnie kramarz prowadzi nas w plener, by tam zachwalać piosenki z epoki króla Stasia, ustami jego dworzan. Obrazek ten, nazwany „Skotopaskami nadwiślańskimi”, ozdabiają duże, kolorowe motyle, a majestatu przydają mu marmurowa kolumnienka i z tejże materii ławeczka. Państwo bawi się w chłopomanstwo, wdycha świeże powietrze i zażywa ruchu.

Umiar obcy jest żołnierzom z sąsiedniego działu oraz zajęтым nimi paniom. Szarżę przypuszczają obydwie strony w sposób najczęściej skuteczny. Również i w tym obrazku nie narzuciła się reżyserowi konieczność powiązania w dramatyczną całość poszczególnych piosenek.

Zasług dostrzeżemy więcej, gdy przeniesiemy się za uroczym sprzedawcą do stolicy. Na tle oblepionego afiszami muru śpiewa trzech rzemieślników, wiernych rogatemu duchowi swego mistrza, Kilińskiego. Gwizdek policyjny nie pozwala im skończyć refrenu słowem „swoboda”. Jeden podchodzi do siedzącej na ławce dziewczyny, pociągając ją za sobą; by w duecie odtworzyć „Balladę starowarszawską”. Mur znika w niebiosach; odsłaniając spacerowiczów Ogrodu Saskiego: zakochani z ludu, panienki z dobrych domów i bibosze przeszkadzają romansować mężatce. Po raz drugi piosenki zestawione zostały w sposób logiczny, ich kolejność wynika z tekstu i sytuacji, a nie czystego przypadku.

O wiele bardziej satysfakcjonuje pod tym względem wizyta w hreczkosiejskim salonie pana Barthelsa, bo w ten właśnie sposób została całościowo ujęta „Parafianiszczynna”. Kramarz nęci nas autentyzmem atmosfery sielskiego baliku, którego uczestnicy świetnie się bawią kosztem Pana Artiura, starszawego szarmana. Ten sam dworek od strony kuchennych schodów prezentuje Panna Marianna, okrutnie igrająca z afektem Pana Wincentego, prowentowego pisarza.

Pisarzy w dzisiejszym rozumieniu tego słowa spotykamy na krakowskim poddaszu, gdzie wespół z „malarią” i szwaczkami przyrządzają swą zabawę na wzór francuskich mont-parnasistów. Patronuje jej z obrazu lautrekowska tancerka. Jeden z artystów, po kabotyńsku owinięty w togę, recytuje z fałszywym patosem „Eviva l'arte” Tetmajera polską popluczynę po francuskim symbolizmie. Wspólnie nuca „Kołysankę”, „Walczyk katarynkowy” i „Pelerynę”, bez dramatycznych przeżyć, zaledwie z lewą w wyraźnie przymrużonym oku. Improwizowany kankan o niewymyślnych figurach kończy artystowskie piosenkowanie.

Pod koniec Kramarz zaprasza w miejsce zabaw ludu miejskiego, na Bielańską Górę. Rozśpiewane Bielany radują oko pstrokacizną ubiorów i bezceremonialnością póź. Dziwnie tu ciasno absyntowemu malarzowi, natomiast znajdzie się miejsce dla realisty, który namaluje co wszyscy nosimy w sercu: „Tę naszą Polskę, w niej dużo słońca. I wielki jubel z końca do końca”. Jubel, jak na zawrotnie rozpedzonym Karuzelu, w którym mknie gruchająca parka. Inna leży w mrówkach, inna dopiero się szuka w Bielańskim Lasku. Zmęczone zabawą „andry” kładą się spać w oleandrach, by rano wyruszyć do roboty z hasłem „Będzie klawo”. Było ono wielokrotnie powtarzane na publiczne życzenie wyrażane w języku oklasków.

„Kram” Schillera zawsze był licznie oblegany. Niejeden tęsknie wspomina czasy, gdy wyczarowywał piosenki jego twórca. Toteż należy tu podkreślić, że reżyser w Nowej Hucie, Jan Skotnicki, nie uciekł, jak to często bywa na szeroką drogę kopistów, lecz dostępnymi sobie środkami ożywił piosenki ze zbioru Schillera. Pomogli mu w tym ambitnym i udanym przedsięwzięciu znakomity choreograf (Eugeniusz Papliński), świetny scenograf (Marian Garlicki) oraz pracowity zespół aktorów. Przeszkadzała niedoćwiczona orkiestra. Była to uczciwa sprzedaż, a nie wyprzedaż piosenek.

ANNA KORZYNIEWSKA

PISMO ODZNACZONE ZŁOTĄ ODZNAKĄ M. KRAKOWA

GŁOS

NOWEJ HUTY

Nr 9 (586)

Kraków, 2 III — 8 III 1968 r

Cena 50 gr

D Z I Ś

W numerze:

- Mówią aktywiści — str. 3.
- Wspomnienia z bojowego szlaku — str. 4.
- Recenzja z Teatru Ludowego — str. 6.
- Turniej matematyczny — str. 8.

8 marca — Międzynarodowy Dzień Kobiet

Po Goldonim i Czechowie „Kram z piosenkami” Leona Schillera okazał się również szczęśliwą pozycją repertuarową Teatru Ludowego. Od dnia premiery (27 stycznia) widowisko to cieszy się niesłabnącym powodzeniem u publiczności nowohuckiej. Wiesz o dobrej rozrywce ślaga na każde przedstawienie także widzów z Krakowa i okolic. Na wielu być może działa magia nazwiska twórcy „Kramu”. Jednego z największych polskich reżyserów, autora sławnych inscenizacji.

„Kram z piosenkami” ukazuje nam się jako lekkie i wdzięczne widowisko taneczno-wokalne. Wykorzystując śpiew, taniec i stylizowane kostiumy z epoki, dokonano scenicznej animacji starych, polskich piosenek z różnych środowisk społecznych, od szlachecko-dworskich, poprzez salony bogatego mieszczaństwa, poprzez mandsardy artystycznej cyganerii aż do bielańskiego lunaparku,

W Teatrze Ludowym

„Kram z piosenkami”

gdzie się bawiło polskie przedmieście.

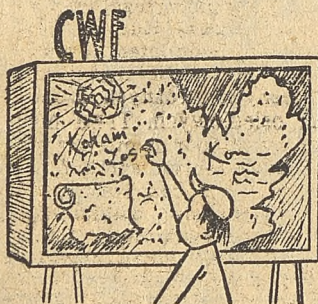
„Kram” rozpoczyna się rozśpiewanym i roztańczonym karnawałowo obrazkiem staropolskiego kuligu, potem „leca” stylizowane na ludowo-dworskie zaloty z epoki króla Stasia (piosenka z bandurką), potem kilka piosenek żołnierskich, jednocześnie z tanecznymi ewolucjami kilku dzielnych wiarusów i nagle przed namizjawią się XVIII-wieczna ulica warszawska a ściślej Ogród Saski z fontanną a na tym tle piękna, w interpretacji niepokojącej, wieloznacznej piosenka „A w Warszawie na ulicy” (Krzywdziak, Szaniecki, Wieczorek). Kolorytem plebejsko-ludowym zabłysła też „Ballada starowarszawska”.

I znów obrazy przesunęły się jak kadry filmu. Eleganckie salony, towarzyska śmietanka, bal, wodzirej i zaraz biedne mieszkanie panny Marianny, uroczej praczki o ciętym języku, takiej nadwiślańskiej „Madame Sans Gene” (B. Kożusznik, wym. A. Wróblówna). Po Warszawie — Kraków. Młodopolską cyganerię prezentuje Witold Gruszecki piosenką „Peleryna” na tle malarskiego atelier pełnego melancholijnych geniuszy i rozśmianych modelek. Spowici w czarne peleryny malarze, przybierają demoniczne pozy... Zwiastuje ci, na drabinach... Na szczęście jednak obrazek ze statycznej ilustracji zmienia się w ruchliwą scenkę. Śpiew i płas. Ogromne brawa. „Kram” kończą scenki jakby

żywcem przeniesione z fin de siècle'owego sztychu. Lunapark z karuzelą, z galerią typów i typków z przedmieścia, wśród których prym wodzi jak zwykle apasze-podrywacze. Piosenki lokalizują ten obrazek na krakowskich Bielanach.

Prawie cały zespół aktorski Teatru Ludowego bierze udział w widowisku. Łatwiej wymienić było by tych, których nie ma, niż tych którzy grają. Dlatego stwierdzę ogólnie, że wszyscy są twórcami sukcesu artystycznego „Kramu z piosenkami”, gdyż jako aktorzy dramatyczni poradziło im się bardzo dobrze z tańcem, dobrze ze śpiewem. Niewątpliwie, bardzo duża tu zasługa choreografa warszawskiego Teatru Wielkiego Eugeniusza Paplińskiego, współpracującego gościnnie przy inscenizacji „Kramu z piosenkami”. Jednym tchem należy jednocześnie pochwalić reżyserię Jana Skotnickiego i scenografię Mariana Garlickiego.

Sądząc po dotychczasowym powodzeniu można wróżyć schillerowskiej składance długi sceniczny żywot. Nie pozbawione środowiskowego humoru, często swawolne i frywolne obrazki z przeszłości nie tylko bawią nas dziś, odprężają... one przekazują nam pewną „małą prawdę” o tamtych ludziach z tamtych epok, które odeszły już bezpowrotnie. Odeszły... Ale w sferze kultury ludowej, obyczajowości i w ogóle kultury dziś istnieje zjawisko ciągłości. A gdyby tak poszerzyć „Kram” Schillera o bliższą nam w czasie andrusowską piosenkę warszawską aż po zupełnie dzisiejszy „Bal na Gnojnej”? To byłaby frajda! J. Duszanowicz



Należy więc szybko odnowić gablotę i na bieżąco wywieszać w niej fotosty z filmów wyświetlanych w kinach Nowej Huty.